

Wilki.

(Zdarzenie prawdziwe)

Było to dwa dni przed Bożem Narodzeniem. Zima była tego roku bardzo ostra i mroźna i śnieg pokrywał ziemię na kilka stóp wysokości. Jak daleko okiem sięgnąć — nie widziało się nie, tylko śnieg i śnieg — cała przyroda zdawała się drzeć od zimna i mrozu.

Wszędzie daje się uczuć zimno, ale nigdzie nie dokucza tak, jak w górach. Na krańcach gór Ardenów, na pograniczu Francji, leżała niewielka dolina, cała prawie zasypana śniegiem, tak, że mieszkańcy jej mozolnie musieli drogi wykopać, chcąc przejść z chaty do chaty. Zupełnie od reszty świata odcięci, przepędzali tu nieraz tygodnie całe, zakopani pod śniegiem i lodem.

Jedna z większych chat, położona na samym początku doliny, odznaczała się i mocniejszym dachem i lepiej zaopatrzonemi drzwiami. Przez słomiane przykrycia nie mógł śnieg napadać ani drzwiami ani oknami, a dach utrzymał bezpiecznie cały ciężar śniegu. Na pierwszy rzut oka można było sądzić, że w chacie wszystko wymarło, ale dym, unoszący się z komina wskazywał, że znajdowali się tam ludzie.

Z lasu wyszedł teraz młody, silny mężczyzna, niosący choinkę na plecach. Szedł wolno, wykopując sobie rydlem drogę i nareszcie, po niesłychanych trudach stanął szczęśliwie przed chatą. Był to Piotr Erler, właściciel chaty.

— Ucieszą się dzieci, — myślał zadowolony, otrząsając śnieg z ubrania. Szkoda tylko, że przyszedł rozkaz polowania na wilki! Byłbym tak ładnie choinkę ustroił! Ale polowanie wnet się może skończy, będę miał jutro dosyć na to czasu.

Otarłszy grube buty z przymarzłego śniegu, wszedł Piotr do chaty i złożył ostrożnie drzewko w najciemniejszym kącie sieni, będącej zarazem i kuchnią.

— Dzięki Bogu, żeś wrócił, Piotrze, — przywitała go żona, ładna, młoda kobieta. — Zimno ci bardzo?

— O i jak! — odrzekł Piotr, pocierając skostniałe ręce. — Droga była ciężka, chociaż w lesie tyle śniegu nie ma jak myślałem.

— Za to drzewko bardzo jest ładne! — Ucieszą się dzieci!

Potem poszli oboje do izby, w której dwoje bawiło się dzieci, siedmioletnia Elżbietka i czteroletni Antoś. Na widok wchodzącego ojca rzuciły się dzieci ku niemu, zasypując go niezliczonymi pytaniami o drzewko i Gwiazdkę.

— Spotkał tatka Gwiazdkę, — pytała Elżbietka.

— Tak, — moje dziecko!

— I zamówił tatka ładne dla nas rzeczy?

— Tak, — kochanie!

— I drzewko? — wołał Antoś.

— Naturalnie!

— Byliście bardzo grzeczni, — chwalił się Antoś, — zmówiliśmy pacierz i prosiliśmy Boga o ładne zabawki.

Ojciec uściśkał dziatki, poczem wszyscy usiedli do obiadu. Piotr, zmęczony, zajął za

wybornym apetytem, tak, aż się żona jego śmiała, że się dziś nasycić nie może.

— Chodziłem dużo, — odrzekł, — to się człowiek i wygłodzi. A dziś jeszcze raz iść muszę!

— Dziś? — zapytała jego żona zdumiona.

— Tak, Anno! — odpowiedział Piotr marszcząc niechętnie czoło. Spotkałem po drodze posłańca od burmistrza — niósł mi rozkaz stawienia się dziś o czwartej na polowanie na wilki. Andrzej, Józef i kilku innych idzie także!

— Polowanie na wilki! — zawołała Anna przerażona, zalamując ręce.

— Tak. Burmistrz kazał nam powiedzieć, że wilki tak się w naszych lasach rozmnożyły, że sobie wnet rady z nimi nie damy. Wielkie zimno w górach sprowadziło nam je tutaj. W ostatnich kilku dniach zdarzyło się już dużo nieszcześć — z początku zadawały się te drapieżniki zwierzęcą i psami, które im w drogę weszły, ale teraz już napadają ludzi, a w Valley zakradły się do owczarni i pożarły przeszło trzydzieści najpiękniejszych owiec. W Girand gorzej jeszcze było, tam.

Piotr chciał dalej mówić, lecz spojrzawszy na przerażone twarze Anny i dzieci, umilkł.

— Nie, dokończ, — prosiła Anna, — ja chcę wszystko słyszeć!

— W Girand więc rozszarpały dziecko, idące do szkoły rano, niedaleko młyna. Nadjeżdżający żandarm zastrzelił trzech, reszta uciekła, ale z dziecka zostały tylko kości i poszarpane ubranie!

— Ach Boże! — zawołała Anna, przyciskając do serca dzieci, tulące się do niej.

— Ale ja słyszałam, — odezwała się po chwili, — że wilki nie rzucają się na ludzi, jeżeli ich się czems nie podrażni!

— Tak, zapominasz jednak, że są głodne, a wilk głodny odważa się na wszystko!

Anna milczała, lecz spojrzenie, jakie rzuciła na męża, wyrażało tyle strachu, tyle smutku, że Piotr uczuł się w obowiązku pocieszenia jej.

— Nie potrzebujesz się niczego lękać, — rzekł spokojnie. — Mamy wszyscy dobre strzelby, a tych boją się wilki okrutnie. Idzie nas zresztą sześciu razem, niebezpieczeństwa więc nie ma żadnego!

— Ale czemu właśnie dziś ma się odbyć to polowanie?

— Bo ludzie mają spokojnie i bezpiecznie iść do kościoła na pasterkę i na mszę w dni świąteczne. A że trzeba iść ciągle lasem, przeto mogłyby wilki zaowu kogoś napaść. Musimy się z nimi zawczasu uskrócić. Ślady wskazują podobno, że nie ma ich być tak dużo, może z dziesięć, nie wielka to zatem robota!

— To są ślady? — zapytała bezmyślnie Anna.

— Naturalnie, — roześmiał się Piotr, — a najwięcej ich znaleziono na górze, około wielkiego dębu. Stamtąd najbliższą mają drogę do Girand!

— Jak urządzicie to polowanie?

— Burmistrz pisał, że ma być naganka, zawsze po dwóch strzelców razem, żeby się mogli bronić nawzajem.

Anna odetchnęła lżej. Tym sposobem nie było niebezpieczeństwo tak wielkie! Po obiedzie

przespał się Piotr cokolwiek, potem narąbał drzewa na dzień następny i około czwartej wybrał się na polowanie.

— Do widzenia dziś na wieczór, — rzekł zapalając krótką fajkę. — Myślę, że o ósmej będę w domu.

— Ach wróć jak możesz najrychlej, — prosiła Anna, — będę tu niecierpliwie czekała na ciebie.

— Tatusiu, — zawołała Elżbietka, — przynieś nam wilka, którego zabijesz. Chciałabym go zobaczyć!

— Tak, wilka! wilka! — powtórzył Antos uradowany.

— No, może go przyniosę! Będziecie go miały na Gwiazdkę, — odrzekł Piotr wesoło.

I wyszedł spokojny i uśmiechnięty.

Anna pracowała w chacie jak zwykle i krótkie popołudnie zimowe wnet minęło. Na dworze była już noc, cicha, mroźna, a tysiące gwiazd jaśniało na ciemnym niebie. Zwiastował następny dzień również pogodny i zimny. Księżyc świecił tak jasno, że na śnieżnej łąszczyźnie dojrzeć można było najdrobniejsze nawet przedmiot.

Dzieci spały, Anna zaś siedziała przy stole, złociła orzechy i stroiła drzewko na dzień jutrzejszy. W piecu stała gotowa kolacja dla Piotra.

Oprócz Anny znajdowała się jeszcze w izbie stara matka Piotra, mieszkająca w sąsiedniej chacie. Gdy się dowiedziała, że syn jej poszedł na polowanie, przysłała do synowej, aby jej dotrzymać towarzystwa, ale znużona całodzienną pracą, siedziała teraz na wygodnym krześle i drzemała.

Drzewko prawie już było gotowe. Anna zaczęła właśnie świeczki umacniać, gdy głośne bicie zegara przerwało głęboką ciszę.

Mimowoli liczyła Anna uderzenia i zadrzała. Zegar wydzwonił dziesiątą.

— Boże! — zawołała przerażona, — tak późno już, a Piotra nie ma!

Babunia zbudzona nagle, zerwała się i zaleknieiona spojrzała na synową.

— Co się stało? — szepnęła.

— Już dziesiąta, a Piotra nie ma!

— Cierpliwości, cierpliwości, moje dziecko, on już wróci, — upominała babunia.

Anna w milczeniu poszła do okna, odsunęła słomianą okiennicę i patrzyła długo. Wzrok miała wyborny, a że jasno było prawie jak we dnie, byłaby już z daleka ujrzała męża. Ale na śnieżnej przestrzeni nic się nie ruszało!

— Babciu! — zawołała ze łzami w oczach.

— Czego chcesz?

— Jestem taka niespokojna! Jeżeli...

— Jeżeli co?

— Jeżeli Piotra jakie nieszczęście spotkało! Boże wielki! Nie przeżyłabym tego!

— Co też ty pleciesz, Anno! Wilki uciekają na widok strzelca, a przecież Piotr sam nie poszedł! Cała wieś tam jest na polowaniu!

— Macie słuszość, babciu, a jednak...

Anna umilkła i znów poszła do okna. Babunia zdrzemnęła się po raz drugi. Anna, nie chcąc jej budzić, usiadła przy stole i zabrała

się do drzewka, lecz myśli jej daleko stąd były. Z nateżoną uwagą wsłuchiwała się w każdy szmer, pochodzący z dworu, lecz Piotr nie wracał.

Zegar wydzwonił jedenastą.

Niepokój Anny wzmagal się z każdą chwilą. Zerwała się z ławki tak gwałtownie, że aż babusią obudziła i znów do okna pobiegła.

— Nie ma go! — zawołała. — Nieszczęście się stało!

Spokojna zawsze babcia zaczęła się teraz także niepokoić i włożywszy okulary na nos, zabrała się do czytania modlitwy.

(Dokończenie nastąpi.)

ROZMAITOŚCI

„Samolot kieszonkowy“ Forda.

Henry Ford, pragnie obecnie zdobyć królestwo — powietrza. Nie interesuje się więc już prawie zupełnie samochodami, a za to wilka godzin dziennie konferuje z inżynierami kt. zy pracują nad nową konstrukcją samolotów

Ford chce nazwać swoje samoloty „paketplan“, to znaczy „samolot kieszonkowy“. Nazwa nie dotyczy jednak bynajmniej wielkości aeroplanu, a jest raczej przenośną, bo ma znaczyć, że każdy będzie mógł z własnej kieszeni wydobyc — pieniądze na zakupienie samolotu. „Paketplan“ będzie bowiem kosztował tylko 250 dolarów.

Przyrzeczeniem aparat będzie sprzedany z gwarancją i każdy, kto go kupi, może być pewny, że nie ulegnie katastrofie. Nawet najgłupszy pilot da sobie radę z ferdowskim samolotem!

Na razie jednak pracują zawzięcie tylko aparaty reklamowe.

Wzmacnianie woni kwiatów.

Profesor botaniki w Rennes, Daniel, przedstawił francuskiej Akademii Umiejętności w Paryżu sprawozdanie z doświadczeń, swych nad wzmacnianiem woni kwiatów, doświadczeń, mogących wywołać prawdziwy przewrót w fabrykacji perfum.

Szczepiąc, na przykład, piołun na zlocieniu, prof. Daniel stwierdził nietylko nadzwyczajny rozwój piołunu, lecz i to, że kwiaty jego wydawały woń daleko silniejszą, a przytem przyjemniejszą, niż kwiaty piołunu oryginalnego prawdziwego.

Posadziwszy następnie nasienie, otrzymane z piołunu zaszczipionego, otrzymał bardzo piękne rośliny, odznaczające się tem, że niektóre z nich wydawały woń bardzo silną piołunu szczepionego, inne zaś były zupełnie bezwonne.

Fabrykanci perfum w Grasze (Francja południowa) rozpoczęli na szeroką miarę próby z wynalazkiem prof. Daniela.

WESOŁY KĄCIK

W sądzie.

— Czy świadek już kiedy przysięgał?

— Przysięgałem...

— Kiedy?

— Jakem się kochał...